

# Magiczna Rwanda

## Jezioro Ruhondo



**Krzysztof Danielewicz**



Security  
in practice

## Magiczna Rwanda

Opracował: Krzysztof Danielewicz

### Część III - Jezioro Ruhondo

#### 30 grudnia, dzień ósmy

Po bardzo deszczowym dniu wcześniejszym poranek był całkiem przyjemny. Po śniadaniu mieliśmy w planach dokonać przemieszczenia do kolejnego miejsca hotelowego na północy Rwandy, nad jezioro Ruhondo. U podnóża wulkanów na granicy Rwandy i Ugandy leżą dwa jeziora – większe to Bulera, mniejsze to właśnie Ruhondo. Udało mi się zarezerwować noclegi w Hill Eco Lodge, na samym końcu półwyspu wbijającego się w jezioro Ruhondo.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 1. Wizyta małp w trakcie naszego śniadania.

W trakcie śniadania, jeszcze w starej lokalizacji, zostaliśmy odwiedzeni przez naszą zaprzyjaźnioną małpią rodzinę. Proszę sobie wyobrazić, że jecie śniadanie i do stołówki

wchodzi na początku jedna, a potem więcej małp. Nasz gospodarz pozwolił nakarmić bananem jedną z nich; małpa podeszła do mnie i delikatnie wzięła banana. To wystarczyło, aby chwilę później już kilka z nich chodziło po stołówce i czekało na kolejne owoce. Widok małpy z małym oseskiem wiszącym pod brzuchem jest naprawdę fantastyczny. W pewnym momencie po stołówce chodziło siedem – osiem małp i jadło banany. Nasz gospodarz powiedział, że małpy dają jasno znać, w jakich intencjach przybywają: jeżeli podchodzą, składają ręce i delikatnie się kłaniają, to oznacza, że nie chcą walki, tylko szukają jedzenia. Małpy doskonale rozpoznają twarze ludzi i wiedzą, kto je karmi, a kto nie. Specjalnie nawet na terenie ośrodka posadzono bananowce, aby małpy miały co jeść. Generalnie, jednym z powodów, dla którego posadzono uprawy herbaty wokół Nyungwe Park, jest fakt, że małpy wyjadają ludziom plony, ale herbaty nie lubią.



Zdjęcie 2. Widoki w trakcie jazdy na północ Rwandy.

Po miłych chwilach spędzonych na karmieniu małp przyszedł czas na dalszą podróż. Tego dnia musieliśmy pokonać całą trasę wzdłuż jeziora Kivu, następnie na wysokości Ribavu graniczącego z Demokratyczną Republiką Kongo skrócić w prawo, dojechać do miasta Musanze i dotrzeć do hotelu. W sumie czekało nas ponad 250 km podróży. Taka odległość

w Polsce to około dwie godziny jazdy. W Rwandzie, gdzie znalezienie jednego kilometra prostej trasy graniczy prawie z cudem, a typowa prędkość to 50-60 km/h, jest to nie lada wyprawa. Dodatkowo, poza ciągłymi serpentynami, dochodzą bardzo duże różnice wysokości, powodujące chwilami zatkania uszu czy problemy z oddychaniem.





*fol. Krzysztof Danielewicz*



*fol. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcia 3-6. Widoki w trakcie jazdy na północ Rwandy.

Podróż mijała bardzo spokojnie. Pierwsze prawie 80 km jechaliśmy tą samą trasą, którą pokonaliśmy dzień wcześniej, więc znaleźliśmy widoki. Niestety, niebo było zachmurzone. Po drodze zatrzymaliśmy się przy jednej z rzek, gdzie dwóch mężczyzn wydobywało łopatami

żwir. Obok znajdowało się ogromne pole upraw ryżowych. Było to fajne miejsce na sesję fotograficzną.

W Kibuye zjedliśmy obiad. Wjeżdżając do miasta, zobaczyliśmy dobrze wyglądający bar i zatrzymaliśmy się na jedzenie. Okazało się, że lokal jest całkiem nowy, który dopiero się organizuje. Do wyboru mieliśmy rybę (czas oczekiwania 45 minut) lub szaszłyk z kozy (czas oczekiwania 30 minut). Wybraliśmy szaszłyk z kozy z frytkami, chociaż z góry wiedzieliśmy, że 30 minut to czas raczej mało prawdopodobny. Dla kogoś o słabszych nerwach zobaczenie kuchni oraz informacja o tym, że nie ma wody w toalecie, byłyby raczej powodem do natychmiastowego opuszczenia tego miasta. Z mojego doświadczenia wiem, że lepiej czasami specjalnie nie wnikać, jak jest robione jedzenie, tylko przepić łykiem wódki i jechać dalej, bez względu na to, czy jest się kierowcą czy nie... Jedzenie okazało się całkiem OK, może poza szaszłykiem – mięso było bardzo włókniste i pełne chrząstek. Po dokonaniu zabiegów dezynfekujących żołądek pojechaliliśmy dalej. Po drodze było trochę deszczu, trochę słońca, a mięso i frytki, w połączeniu z niskim ciśnieniem, spowodowały że dość dynamicznie szukaliśmy miejsca, aby napić się kawy.



Zdjęcie 7. Przystań w Kibuye nad jeziorem Kivu.

W rejonie miasta Ribavu, które graniczy z Demokratyczną Republiką Kongo, skręciliśmy w prawo. Kiedy w 2019 r. miałem okazję być w tym mieście, widziałem przejście graniczne

z DRK. Gołym okiem było widać dramatyczną różnicę pomiędzy tymi krajami, oczywiście na korzyść dla Rwandy. Według mojego przewodnika członkowie władz DRK potrafili w czasie tylko jednego weekendu wydać po stronie rwandyjskiej nawet kilka milionów dolarów, podczas gdy Kongijczycy cierpieli ogromną nędzę. W rejonie tym było też widać na polach ogromne ilości kamieni po erupcji wulkanów. Budowano z nich domy, drogi czy ogrodzenia, jednak ich ilość była tak duża, że np. sadzono pomiędzy nimi fasolę czy kukurydzę, zamiast je posprzątać. Pozytywną stroną erupcji wulkanu stanowiła bardzo żyzna gleba.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 8. Przez cały czas na drogach w Rwandzie wszechobecni są rowerzyści i piesi.

Za miastem Ribavu trasa się wypłaszczyła i wyprostowała, ale przybyło samochodów oraz ludzi na ulicach. Jeżeli ktoś chce prowadzić auto w Rwandzie czy w innych krajach afrykańskich, to musi zapomnieć o wszelkich przepisach. Należy szybko poczuć styl jazdy w danym kraju i się do niego dostosować. W Rwandzie oznacza to np. jazdę raczej środkiem drogi, aby omijać pieszych i motocyklistów. Należy sygnałem ostrzec pojazdy omijane, aby czasami nie wjechały nam pod maskę w momencie omijania. Trzeba też bezwzględnie przestrzegać ograniczeń prędkości, ponieważ radary stoją czasami nawet co kilka kilometrów.



Zdjęcia 9-10. Typowe drogi gruntowe w Rwandzie, poza główną trasą.



Kiedy do celu zostało około godzinę, okazało się, że musimy zjechać na gruntową drogę, choć nie do końca wiadomo było gdzie, bo nawigacja trochę wariowała. W końcu po trzech próbach zjechaliśmy z drogi asfaltowej na gruntową. W Polsce „droga gruntowa” nie oznacza problemów, w tym przypadku jednak rzeczywistość okazała się bardzo stresująca. Do zachodu słońca mieliśmy około godziny, jednak nawigacja sugerowała, że najbliższe 26 km do celu będziemy jechać przez około godzinę i dwadzieścia minut, co sugerowało problemy. Na szczęście dzień wcześniej, kiedy próbowaliśmy dotrzeć do Kivu Lodge, poznałem możliwości naszego cudownego samochodu.

Na początku trasy wszystko szło raczej dobrze, a napotkany człowiek potwierdził jedną z pierwszych miejscowości, do których musieliśmy dotrzeć. Jednak stan drogi, którą jechaliśmy, sugerował, że nie jest to często uczęszczana przez samochody trasa, Co rusz wspinaliśmy się pod strome podjazdy lub zjeżdżaliśmy ostro w dół, po jakimś czasie widzieliśmy po naszej lewej lub prawej stronie jezioro. Byliśmy na bardzo dużej wysokości, jadąc wąską drogą przebiegającą po zboczu wzgórz.



Zdjęcie 11. Typowa droga gruntowa w Rwandzie, poza główną trasą oraz jej użytkownicy.

Co jakiś czas musieliśmy pokonać przepust wykonany z drewna eukaliptusa, ale tak zbudowany, że łatwo było się powiesić samochodem na brzuchu. Najbardziej stresujące okazały się jednak nie strome podjazdy czy zjazdy, ale przejazd przez miejscowości. Przejeżdżaliśmy przez sześć – siedem wsi. Akurat były to godziny wieczorne, więc wszyscy ludzie wychodzili na ulice i stali razem. To nie jest Polska, gdzie każdy ma TV, Netflix itp. Tu jest tak, że w domu nie ma absolutnie żadnych atrakcji, jedyną więc stanowi wyjście na ulicę i rozmowa z innymi ludźmi.



Zdjęcie 12. Typowa zabudowa wsi, która wieczorem jest nieoświetlona i wygląda naprawdę ponuro.

Proszę sobie wyobrazić, że wjeżdżacie w rejon około 20-30 domów i sklepów, gdzie na ulicy wieczorem stoją setki osób, droga jest dramatycznie trudna do przejazdu samochodem i słabo oświetlona, a kiedy przejeżdżacie, to wszyscy na was patrzą i nie wierzą. Nie wierzą, że ktoś przyjechał tu samochodem, a kiedy widzą, że w samochodzie siedzi trzech białych, przecierają oczy ze zdumienia. Zewsząd słychać słowo „muzungo”, czyli „biali, biali”, a dzieci biegają i krzyczą „give me money” („daj mi pieniądze”). Wyglądało to trochę jak wjazd w grupę filmowych zombie w nocy, gdzie wszyscy na ciebie patrzą jak na kogoś szalonego. Na początku nie był to problem, ale kiedy staje się coraz ciemniej, a w jednej z miejscowości dzieciak uderzył specjalnie w lusterko, humor opuścił mnie całkowicie. W pewnym momencie zrobiło się całkowicie ciemno, żadnych motorków, od godziny nie widzieliśmy żadnego samochodu,

a my ciągle jedziemy, i to ostro w dół. W głowie miałem tylko dwa pytania: czy na końcu drogi jest hotel, którego szukamy, i czy będę w stanie moim samochodem z tego terenu wyjechać, bo nawet napęd na cztery koła miał chwilami problem, aby podjechać pod górę.

Wreszcie na końcu drogi, już na ostrym zjeździe, pojawiły się światła i okazało się, że to nasz hotel. Obsługa czekała na nas i była w szoku, że dojechaliliśmy tu samochodem w porze deszczowej. Okazało się, że normalni ludzie dojeżdżają do parkingu położonego po drugiej stronie jeziora i dopływają do hotelu łodzią. Stwierdzenie kelnerki spowodowało jeszcze większy stres – myślałem, że jeżeli w nocy zacznie padać, to w ogóle stąd nie wyjedziemy.



Zdjęcie 13. Stresująca podróż zakończyła się szczęśliwie.

Po zakwaterowaniu się poszliśmy na kolację. Miejsce wydawało się bardzo przyjemne. Nic nie widzieliśmy, bo była noc, ale mapa wskazywała, że rano przed nami roztoczą się cudowne widoki. Po jakimś czasie ktoś z obsługi rozpałił ognisko w swego rodzaju stalowym palenisku i zaprosił nas do ognia. Kiedy jedliśmy kolację, zauważyliśmy białą parę, która po kolacji poszła spać. Wtedy to sytuacja wymknęła się spod kontroli..., zmęczenie i stres plus odrobina dobrej tanzańskiej wódki Konyagi bardzo rozładowały atmosferę. Nie wiem, jak to się stało, ale pół godziny później, kiedy nie było już szefa, cała obsługa łącznie z nami tańczyła wokół ogniska, pijąc, co kto ma. Oczywiście ja zostałem głównym sponsorem, ale atmosfera była tego warta. Na przemian bawiliśmy się to przy polskiej, to przy rwandyjskiej muzyce. Musiało być bardzo głośno, bo chłopak z białej pary przyszedł ze skargą, że jest za głośno. To był naprawdę magiczny wieczór, gdzieś na końcu świata, kiedy wszyscy tańczyliśmy do polskiej i rwandyjskiej muzyki... Poznałem fajnych ludzi, z których jednego pamiętam najbardziej, bo był najstarszy. Dostał od nas ksywę Dziadzia – od piosenki rwandyjskiego artysty, w której

śpiewa dziadzia, co podobnie jak w polskim języku oznacza dziadek. Od tego dnia każdego razu, kiedy go spotykałem, krzyczał do mnie „Dziadzia”, co wywoływało natychmiastową radość u reszty obsługi.

### **31 grudnia, dzień dziewiąty**

Po szalonym wieczorze na końcu świata jeszcze w nocy budziłem się i zastanawiałem, co zrobić: czy zostawić samochód do końca pobytu, tj. na cztery dni, i się stresować, czy droga będzie mokra przez deszcze, czy też pojechać na wskazany parking, wrócić łodzią i bez stresu realizować poznawanie Afryki. Rano podjąłem decyzję: wyjeżdżamy autem, póki jest sucho, i wracamy promem.

Kiedy rano wstaliśmy, naszym oczom ukazał się cudowny widok: piękne jezioro pomiędzy wzgórzami, kilka wysp oraz widok na wulkany, na których żyją goryle górskie. Śniadanie w tych okolicznościach smakowało wyśmienicie. Trochę się tylko bałem rachunku za wieczorną imprezę..., ale nie było tak źle – 60 USD za wszystko, a wiem, że szkła też się trochę natłukło...



*fot. Krzysztof Danielsen*



fot. Mateusz Kabacinski



Zdjęcia 14-17. Widok z hotelu o poranku - czy można obudzić się piękniej?

Po śniadaniu i zrobieniu pierwszych zdjęć w pięknych okolicznościach odpaliliśmy auto i ruszyliśmy tą samą drogą, co wieczór wcześniej. Teraz było ślicznie, sucho i mieliśmy mnóstwo czasu, więc stresu nie było. Chwilami żartowałem, że jak uda mi się stąd bezpiecznie wyjechać i dojechać do asfaltu, to uklęknię i go pocałuję.

Tym razem trasa zajęła nam ponad dwie godziny, a to dlatego, że robiliśmy mnóstwo przystanków i zdjęć. Widoki były cudowne, a przejazd przez wcześniejsze miejscowości całkiem przyjemny. Ludzie byli w pracy, dzieci także, więc nie było tych mas ludzi, co wieczór wcześniej. Dwa razy wjechaliśmy w złą drogę i musiałem zawracać, ale moje już spore doświadczenie spowodowało, że odbyło się to bez problemów. Jakie było moje zdziwienie, gdy po drodze w jednej z miejscowości zobaczyliśmy zwykłą osobową toyotę. Kompletnie nie mam pomysłu, jak facet dojechał w to miejsce zwykłym samochodem. Afrykańczycy to prawdziwi mistrzowie świata w rozwiązywaniu problemów i w przetrwaniu.



Zdjęcie 18. Spotkany po drodze rowerzysta ze swoim unikatowym rowerem.

Po dojechaniu do drogi asfaltowej humory mieliśmy już wyśmienite. Skręciliśmy na kierunek Musantze, gdzie chcieliśmy coś zjeść i zwiedzić galerie różnych dzieł artystycznych z Rwandy. Po posiłku pojechaliśmy do dwóch galerii, w tym jednej, w której byłem w 2019 r. Niestety nic nam nie wpadło w oko; wielkość kilku pięknych obrazów całkowicie wykluczała ich zakup –

nie zmieściłyby się do samolotu. W związku z tym, że byliśmy trochę zmęczeni po imprezie, postanowiliśmy wrócić do hotelu. Wybraliśmy w nawigacji adres wskazany nam przez właściciela hotelu i dojechaliśmy na parking. Na miejscu odstawiliśmy auto i łodzią popłynęliśmy do hotelu. Musieliśmy tylko wcześniej poczekać. Po drodze co chwilę słyszeliśmy dzieci wołające „give me money”, co po jakimś czasie wywołuje wyłącznie irytację.



*fot. Krzysztof Danielewicz*



*fot. Krzysztof Danielewicz*





*foto. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcia 19-21. Spotkani po drodze Rwandyjczycy, nie odmawiali pozowania, choć czasami trzeba było odpowiednio podziękować ;)

Po dopłynięciu do hotelu zjedliśmy kolację i poszliśmy spać. Był sylwester, a ja o godz. 21.00 już smacznie spałem. Generalnie nie obchodzę żadnych świąt; bawię się, kiedy chcę i z kim chcę – to daje mi poczucie wolności i wpływu na własne życie. Przestrzeganie wszystkich świąt, rocznic, urodzin i imienin powoduje, że nie jesteśmy panami naszego życia, tylko sługami kalendarza i tradycji...

### **1 stycznia 2023 r., dzień dziesiąty**

Poranek był wyśmienity, a po bardzo długim i dobrym śnie humory nam dopisywały. Zgodnie z wcześniejszymi planami mieliśmy wynająć przewodnika z hotelu i wspiąć się na wysoką górę, z której było widać oba jeziora. Punktualnie o godzinie 10.30 czekał na nas przewodnik, który jednocześnie w hotelu zajmował się także sprząaniem pokoi – dwudziestoletni chłopak, który urodził się w tym regionie i znał go doskonale.

Na początku, na moją prośbę, popłynęliśmy obok kilku wysp, które mieliśmy okazję każdego dnia podziwiać z naszego tarasu. Następnie dotarliśmy do brzegu i zaczęliśmy się wspinać ostro w górę. Pogoda była wyśmienita, a słońce zmuszało nas do dbałości o poziom płynów. Chodziliśmy bardzo wąskimi ścieżkami, czy wręcz śladami na wzgórzach, mieliśmy piękne

widoki na oba jeziora. Co jednak dla mnie najważniejsze – przechodziliśmy przez zagrody lokalnych biednych rolników, co pozwalało zobaczyć z bliska, jak żyją, czym się żywią czy co uprawiają na polach. Przewodnik tłumaczył, jaka roślina jest do jedzenia, jaką się leczą, kto i dlaczego ma krowy, jak się uprawia bananowce i trzcinę cukrową, skąd mają kije do fasoli itp. Okazało się, że najpopularniejszym napojem jest wino bananowe, które nam w ogóle nie smakowało. Mieliśmy okazję go spróbować w lokalnym barze, ale już sposób jego podania nie był zachęcający, smakowało przy tym słabo, jakby wywar ze zboża.



*foto. Krzysztof Danielewicz*  
Zdjęcia 22. Nasz sympatyczny przewodnik.

Ciekawe jest to, że na stromych wzgórzach wykopane są głębokie rowy, które mają ograniczyć tempo spływającej wody, aby nie postępowała erozja gleby. Wszędzie rosły eukaliptusy, które są bardzo cennym i wartościowym drewnem, używanym powszechnie przez Rwandyjczyków. Nie wolno ścinać drzew, ale w lesie widać, że nie ma w ogóle gałęzi na ziemi, z czego można wnioskować, że są one zbierane jako opał do gotowania. Co chwila było widać małych chłopców chodzących po lesie i zbierających chrust do pieca. Musi to być bardzo niewdzięczne zajęcie, bo wszystko jest zazwyczaj wyzbierane.

Po jakimś czasie zeszliśmy z góry, z której rozpościerał się cudowny widok na oba jeziora. Po drodze mijaliśmy też miejsca, gdzie powstawały miejsca dla turystów, zwane w Rwandzie lodge. Jedno miejsce było budowane nawet przez inwestora z Niemiec. Po zejściu z góry mieliśmy okazję wejść do centrum jednej ze wsi, gdzie znajdowały się punkty handlowo-usługowe. Tam właśnie testowaliśmy wspomniane piwo. Miła atmosfera sprawiła, że

postanowiłem napić się piwa w jednym z lokalnych barów. Właściciel i jego żona byli bardzo mili, mówili po angielsku i francusku. Natychmiast ludzie zgromadzeni w okolicy podeszli do nas i robili sobie z nami zdjęcia. Po jakimś czasie opuściliśmy to miejsce, pożegnaliśmy się z Rwandyjczykami i udaliśmy się do przystani, gdzie stała nasz łódź.



Zdjęcia 23. Typowa zagroda w rejonie jeziora Ruhondo.







Zdjęcia 24-28. Ludzie i krajobraz Rwandy są urzekające!

Po drodze widzieliśmy np. na drzewie dwa orły afrykańskie, oglądaliśmy uprawy rolników i rozmawialiśmy o zwyczajach rwandyjskich. Oczywiście zaczepiały nas dzieci, prosząc

o pieniądze, ale nie reagowaliśmy. Nasz przewodnik skutecznie studził ich emocje. W końcu dotarliśmy do naszej przystani. Chwilę wcześniej minęliśmy ochroniarza, który pilnuje samochodów osób śpiących w naszym i sąsiednim pensjonacie. Powiedział, że zgodnie z umową umył moje auto, za co zapłaciłem mu równowartość 4 USD. Samochód rzeczywiście był bardzo czysty.

Po wykąpaniu się i zjedzeniu kolacji przyszedł czas na opisanie wrażeń z trzech ostatnich dni. W hotelu zrobiło się bardzo gwarnie – przyjechała duża rodzina z Indii oraz grupa młodych ludzi z jakiegoś afrykańskiego kraju.

## 2 stycznia, dzień jedenasty

Poranek jak zwykle był prześliczny i spokojny. Rano tylko zamiast ptaków słyszeliśmy dwóch chłopców z rodziny hinduskiej, która dojechała dzień wcześniej. Hindusi zabrali ze sobą, poza naczyniami, także radio, które starszy Hindus puszczał na cały głos. Wszystko to wyglądało raczej komicznie.



fot. Mateusz Kabaciński



*fol. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 29-30. Podróż łodzią na parking samochodowy, to kolejna okazja do robienia zdjęć i odpoczynku.

Po śniadaniu wsiedliśmy na łódź i popłynęliśmy do przystani do samochodu, którym pojechaliśmy trochę pozwiedzać Musantze i okolice. Wstąpiliśmy do kilku galerii i zrobiliśmy małe zakupy pamiątek. W Rwandzie ceny są bardzo ruchome i należy się zawsze targować, a minimalny upust to 25-30% ceny pierwotnej.

Następnie odwiedziliśmy tzw. wioski goryli, gdzie lokalni mieszkańcy podobno przygotowali jakieś atrakcje, o czym czytaliśmy w internecie. Na miejscu nic nie wyglądało atrakcyjnie, a dodatkowo zażądano od nas po 25 USD za wstęp. Nasza odpowiedź była zgodna: w tył na lewo i wyjazd...Żądanie po 110 PLN za bilet wstępu do czegoś nieatrakcyjnego to prawdziwy rozbój.

Wreszcie pojechaliśmy znaleźć jakąś restaurację, aby zjeść obiad. Przypadkowo odkryliśmy świetne miejsce nie tylko na obiad, ale też jako miejsce noclegowe dla przyszłych turystów z Polski, jeżeli tacy będą. Ja na obiad wziąłem gotowaną kozinę, która i tym razem okazała się niesamowicie twarda, pomimo że smaczna.

Po obiedzie powróciliśmy do przystani i łodzią wróciliśmy do hotelu. Idealna pogoda zachęcała nas, aby trochę się poopalać i popływać w jeziorze, w którym nie było żadnych niebezpiecznych zwierząt.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 31. Jedna z kilku odwiedzonych galerii.



W drodze powrotnej widzieliśmy kelnera niosącego smacznie wyglądającą rybę innym klientom, co zachęciło mnie do zamówienia takiej samej. Jedna tilapia – najbardziej powszechna ryba w jeziorze – starczyła dla całej naszej trójki, a przy tym była bardzo smaczna.

Wieczór jak zwykle upłynął na spisaniu przeżyć danego dnia i planowania tym razem ostatniego już dnia pobytu. Kolejny piękny i słoneczny dzień w Rwandzie minął.



fot. Mateusz Kabaciński

Zdjęcie 32. Pyszna tilapia starczyła dla wszystkich.

### **3 stycznia, dzień dwunasty – ostatni**

Jak zawsze to, co fajne, szybko się kończy. Rano zjedliśmy śniadanie i pożegnaliśmy się z pięknymi widokami. Nie pamiętam, żeby było mi tak trudno opuszczać kraj, który odwiedzałem. Ta zieleń, widok pięknej i spokojnej wody, gór i wulkanów był naprawdę kojący.

Do Kigali mieliśmy około trzech godzin, a piękna pogoda nie zachęcała do pośpiechu. Po drodze mijaliśmy jeszcze targ wiejski, na który Rwandyjczycy zwozili świnie. Było bardzo zabawne widzieć, jak wożą świnie, ważące grubo ponad 120 kg, na rowerach, kolanach czy bagażniku. Widzieliśmy też zawodnika, który siedział na świni na poboczu drogi. Nie wiem,

dlaczego te świny były takie spokojne, ale nie piszczały i nie walczyły – może były czymś odurzone. Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze na kawkę w przydrożnej kawiarni oraz zabraliśmy na stopa ochroniarza, którego wysadziliśmy w Kigali.





Zdjęcia 33-36. Pożegnanie z tak pięknymi widokami zawsze jest trudne...

W Kigali pojechaliśmy jeszcze na ostatnie zakupy do Caplaki market. Było tam mnóstwo sklepików z różnymi suwenirami, niestety w większości ten sam asortyment, ale ceny już różne. Identyczny magnesik mógł kosztować 10 lub 2 USD. Zjedliśmy tam także ostatni obiad, po czym pojechaliśmy do centrum do marketu zakupić rwandyjską kawę i herbatę. Ja jak zawsze zaopatrzyłem się w dużą ilość pysznej zielonej herbatki.

Po wszystkim wróciliśmy do naszego hotelu, gdzie mieliśmy jedną dobę hotelową, pomimo tego, że w nocy wyjeżdżaliśmy. Jednak w przeciwnym razie nie mielibyśmy gdzie przeczekać kilka godzin do wyjazdu. O 18.00 przyjechał pracownik wypożyczalni samochodów odebrać toyotę. Zanim mu powiedziałem, że muszę zapłacić mandat, sam mnie sprawdził i poprosił o 35 USD. W Rwandzie jest to typowa procedura, że wypożyczalnie samochodów dzwonią na policję i przy odbiorze auta sprawdzają ewentualne zobowiązania.



Zdjęcie 37. Autor na tle jeziora Ruhondo.

Po szybkiej kolacji zamiast śniadania udaliśmy się na trzygodzinną drzemkę. O 22.30 samochód z hotelu za kwotę 20 USD zawiózł nas na lotnisko. Rwanda jest jedynym znanym mi portem lotniczym, gdzie każdy samochód jest skanowany przez odpowiednie urządzenie. W tym czasie kierowca i pasażerowie muszą opuścić pojazd. Niestety, nie wpuszczono nas

do budynku sali odlotów, ponieważ nasz check-in nie był jeszcze otwarty, a sala odpraw jest bardzo mała (podobnie jak całe lotnisko). Musieliśmy więc poczekać z innymi w kawiarni poza budynkiem. Wreszcie, po pomyślnym przejściu wszystkich procedur, wsiedliśmy do samolotu. Tutaj mała niespodzianka: w samolocie siedzieli pasażerowie ze Stambułu, część z nich wysiadła, a my dosiedliśmy i poleciliśmy do Ugandy. W Ugandzie podobnie – część wysiadła, samolot został posprzątaný, wsiedli nowi pasażerowie i poleciliśmy do Stambułu. Tam po kilku godzinach oczekiwania odlecieliśmy, już bardzo zmęczeni, do Warszawy. W Warszawie szybko było widać, że jesteśmy w Polsce: mokro, ciemno, zimno i depresyjnie...

Podsumowując, Rwanda jest najlepszym miejscem, aby w bezpieczny i komfortowy sposób poczuć Afrykę. Mamy tam parki narodowe pełne zwierząt, lasy deszczowe oraz góry i jeziora czy rzeki. Piękna zieleń i słońce powodują, że człowiek nie chce wracać do szarej rzeczywistości.



Zdjęcie 38. Dla Kasi i Mateusza to była przygoda życia, oby tak dalej!